

An oil painting of a monkey's face, rendered in a realistic style with visible brushstrokes. The monkey has a calm expression and is looking slightly to the right. It is holding a bunch of purple flowers with green leaves in its mouth. The background is dark and textured.

GABRIELA ZAPOLSKA

Szakale


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

GABRIELA ZAPOLSKA
MENAŻERIA LUDZKA

Szakale

Przez dziedziniec zajazdu jak strzała przemknął numerowy, siejąc po drodze świeże deszczułki, które przywiązywał do kluczy.

Wpadł do mieszkania właścicielki i prawie bez tchu zatrzymał się w progu saloniku.

— Spod siedemnastego „sie” powiesiła! — zawołał, łapiąc z wysiłkiem powietrze.

Właścicielka, tłusta, żółta, cała rozlana w swej włóczkowej halce, która wydymała się jej na brzuchu i biodrach, a zapadała pod kolanami, otworzyła szeroko oczy.

— Co to za paskudne gadanie! Po co się miała powiesić, kiedy jeszcze rachunku nie zapłaciła!

Lecz kelner powtarzał uparcie:

— „Sie” powiesiła.

Żydówka cmoknęła niecierpliwie:

— Skąd Marciński wie?

— Widać ją „bez¹” okno. Ma nogi o deskę oparte!

— Może sobie tylko tak w oknie stoi?

— Ale!... wisi, wisi, jak mi Bóg miły, ot, nogi się jej zgięły w kolanach, a ręce dyndają po bokach. Wedle głowy już dojrzeć nie mogłem, bo bez okiennice wszeteczne ciemności w numerze.

Żydówka pod boki się ujęła i stała chwilę zamyślona.

— Trzeba drzwi otworzyć — podjął znów kelner — może jeszcze dycha.

— Aj! aj! Niech pan Marciński tak sobie nie śpieszy. Po co to głosić takie rzeczy? To interes psuje... Goście się odstraszą.

Żydówka podreptała do sypialni.

¹bez (reg.) — przez. [przypis edytorski]

Za chwilę wyszła w perkalowym szlafroku, który się jej roztwierał na brzuchu i piersiach. Na perukę zarzuciła wełnianą chustkę.

Przez uchylone drzwi weszła kilkunastoletnia dziewczyna, chuda i czarna, w opiętej bardzo sukience. Włosy miała ściągnięte po chińsku i przepasane żółtą tasiemką.

Podeszła do matki.

— Gdzie mama idziesz?

— Do numerów. Kanapa się zawaliła w piętnastym! Aj, co ja z tym mam!... Ty sobie, Salcia, pograj trochę gamy.

Roztwierała fortepian, ścierając pył połą szlafroka.

— Nie chcę gamy! — grymasiła Salcia.

— Aj, Salcia! Co z tobą?... Ty gorzej „kaprysujesz” niż te całe numera i wszystkie goście! Graj sobie gamy albo jakie kawałki. Graj głośno, a okna otwórz, niech goście słuchają.

Znów do okien dreptała, lecz kelner jej drogę zastąpił.

— Chodźmy pod siedemnasty!

— Chodźmy!

Na dziedziniec wyszli i okrążyli furę z sianem, która na środku drogę barykadowała. Kilka kur kręciło się pod wozem, dziobiąc w żółtawej, lepkiej cieczy, co cuchnącym węzłem pod kołami się kręciła. Przez otwartą wjazdową bramę widać było szary bruk uliczny i nagle podniesienie się ścian kamienic przeciętych ciemnymi jamami otwartych okien. Z góry płynęło szarawe światło chmurnego dnia letniego, deszcz mżył od świtu, tnąc powietrze cieniuchnymi, podłużnymi nitkami. Pomiedzy kamieniami tworzyły się czarniawe strumyki, które zdawały się zastygać jak ciemne pokręcone robaki.

W środkowym korpusie hotelu, cofniętym w tył, pomalowanym na jasnoróżowy kolor, prawie wszystkie okna były otwarte. Tylko na dole jedno okno miało przymknięte szarobrudne okiennice, krzywe i popaczone. Okiennice te były od wewnątrz śrubą ujęte.

Kelner palcem na okno wskazał:

— O!

Lecz Żydówka wykrzywiła się ze złością.

— Ty, panie Marciński, palcem nie pokazuj! Ty mi policję jeszcze naprowadzisz tym palcem!

Do sionki wchodowej zwróciła się, lecz stanęła nagle jak wryta na widok myszurysa² drzemiącego na klocku wśród porozrzucanych wiórów.

— Jojne! Jojne!

Jojne, rudy, mały, pokręcony, z sześcioma palcami u lewej ręki, prawdziwy „rarytas” hotelowy, porwał się na równe nogi.

— *Schlufst du?*³

— *Naaa! schlaft i nit*⁴!...

Lecz właścicielka napadła nań, sypiąc gradem obelżywych wyrazów. Leniwiec, próżniak, drogę gościom zawala i nie wie nigdy, co się w numerach dzieje.

Kelner zniecierpliwiony wszedł do sieni.

— Niech pani idzie.

— Zaraz! zaraz!

²*myszurys* (żyd.) — właśc. *meszores*, sługa. [przypis edytorski]

³*schlufst du?* (niem.) — właśc.: *schlafst du?*, tj. ty śpisz? [przypis redakcyjny]

⁴*Naaa! schlaft i nit* (zniekszt. niem.) — nie, nie śpię. [przypis edytorski]

Jojne uciekł, teraz właścicielka przypatrywała się zsypanym w kąć dachówkom, którymi miano kryć oficynę. Nagle z lewego skrzydła zajazdu wypłynęła tryumfalnie *Ostatnia myśl We-bera*⁵, kaleczona przez Salcię.

Żydówka chwilę jeszcze słuchała, uśmiechając się radośnie.

— O!

Po czym dopiero z trudnością na trzy wschodki wlaższy, w ciemną szyję sionki zagłębiła się.

Cały zaduch źle utrzymywanych numerów zacieśniał się tu, w tej ciemnej przestrzeni. Podłoga, ściany zdawały się być przesiąknięte wonią potu, brudnej bielizny i piwnicznej wilgoci. W kącie bieleły skorupy rozbitej miski, przed drzwiami numerów porzucono buty, z których jeden w niepewnym świetle płynącym z wysoko umieszczonego okienka miał świeżą zelówkę jasno na czarnym tle podłogi się znaczącą. Cały ten zakąt, w którym nędza, wystę-

⁵*Weber, Karol Maria von* (1786–1826) — niemiecki kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych; dyrektor opery w Dreźnie od 1817; zmarł w Londynie, a w 1844 jego zwłoki przeniesiono do Drezna. [przypis edytorski]

pek, rozpusta, często wykwintne nawet cudzo-
łośćtwo odwiedzało w przelocie, całe to schro-
nienie dla smutnych, wydziedziczonych, bezi-
miennych, czasem jeszcze wilgoć więzienia w swym
ubraniu ze sobą wnoszących, koncentrował się
głównie w tym pawilonie, w dolnych nume-
rach, gdzie stawali najczęściej ludzie wybladli,
wychudli, mówiący cicho, nie domagający się
nigdy świeżych prześcieradeł, szuwaksu⁶ na bu-
ty lub wody do karafki. Jakaś tajemniczość włó-
czyła się wzdłuż tych ścian rzędem drzwiczek
przeciętych, jakiś podejrzaný handel, przywo-
dzący na myśl połączenia potworne, kurcze gło-
du przed światem tajone, łzy dziewczyny zhań-
bionej i oczy starca powleczone mgłą rozpusty.

Lecz już kelner stał koło drzwi siedemna-
stego numeru, dzwoniąc kluczami.

Żydówka doń dopadła.

— Cicho! cicho! Niechaj nie słyszą!

Spojrzała przez dziurkę od klucza, ciemno
było zupełnie, wyjęła z peruki szpilkę podwójną
i zanurzyła w głębię.

⁶*szuwaks* (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

— Nie ma klucza! — wyszeptała.

Numerowy od pasa kółko odpiął, na którym brzęczały klucze.

— Poszukam!

Z wielką wprawą klucz znalazł, w zamek go włożył i dwa razy przekręcił.

Drzwi otwarły się skrzypiąc.

*

Łóżko stało zasłane, nietknięte, wyciągające swe brudnoczerwone fałdy kołdry i białe kwadrat poduszki w półcieniu, jaki panował dokoła.

Od okna płynęły jaśniejsze smugi, a przez wycięty otwór w okiennicach padał snop światła, przecinający brutalnie ciasną przestrzeń numeru. Snop ten, biegnąc ukośnie, padał na stół pokryty różową bawełnianą serwetą, na której stała szklanka do połowy wypitej wody, kafełka, kawałek sznura ciemnoczerwonego, odpalonego na jednym końcu, i trochę kwiatów sztucznych, pogniecionych i zwiniętych w kłę-

bek. Blżej okna leżało przewrócone krzeselko, z którego materac wypadł na środek pokoju.

Reszta przedmiotów tonęła po kątach w cieniu.

I tylko jeszcze piec występował masą ciężką, białą, jak zwierz uśpiony w kącie ciasnej klatki, z paszczą szeroko otwartą, z której jak język czarny wisiały na jednej złamanej zawiasie⁷ zardzewiałe drzwiczki.

Lecz u okna jakaś czarna, nieruchoma zwieszała się postać, smutna i nędzna. Źle dopasowane okiennice właśnie tam filtrowały szeroką szparą światło. W szparze tej najdokładniej dostrzec można było ciemną głowę kobiety, obramowaną jaśniejszym paskiem światła i dalej korpus zwieszający się ciężko z rękami opuszczonymi i wykręconymi konwulsyjnie ku ciastu, z nogami podkurczonymi na desce okna.

Marciński rękę wyciągnął.

— Wisi! O tam, w oknie!

Żydówka oczy zmrużyła.

⁷*zawiasa* — dziś popr. w r.m.: *zawias*. [przypis edytorski]

— Niech no Marciński poczeka! Może to takie udawanie, bo to z... takimi to różnie się trafia. Panno! Panno! Zleź panna z okna!... Zleź zaraz!...

Lecz postać czarna nie drgnęła nawet, wciąż nieruchoma w swej strudze jasnej w ramę ją obejmującej.

Żydówka podsunęła się bliżej.

— Niech Marciński okiennicę jedną uchylili, a ostrożnie, coby z „dworza” widać jej nie było.

Marciński szybko podstąpił, na okno się wspiął i rękę poza trupa wyciągnął. Okiennice powoli się uchylily. Szeroka szczyrba światła doskonale teraz oblała straszną, zsiniałą twarz samobójczyni.

Numerowy w pierwszej chwili oczy przymknął, znalazłszy się tak blisko z trupem w ciasnej niszy okna. Powoli jednak powieki podniósł i ręką policzka zmarłej dotknął.

— Jak lód — wyrzekł.

Z okna zeskoczył i stał teraz beczynn timer z opuszczonymi rękami, patrząc ciągle w wiszącą.

Nagle Żydówka wybuchnęła:

— A niech ją diabeł porwie! Pięć dni numer trzymała i teraz jeszcze go zapaskudziła! Aj! aj!... kto tu teraz stanie! A policja! A gwałty! A stacja nie zapłacona!

Kelner milczał, jakby zahipnotyzowany widokiem martwej dziewczyny. Była przecież ohydna; cała sina, z oczyma szeroko rozwartymi, prawie czerwonymi od krwi nabiegu, z masą bezkształtną języka, wysuwającego się z jej ust granatowych i spuchniętych. Tylko od tyłu głowy zwieszały się przepyszne, wspaniałe warkocze, czarne i lśniące, na wpół splecione. Jeden z tych warkoczy zsunął się naprzód i wisiał w przestrzeni, a lekko przez wejście na okno numerowego poruszony, chwiał się jak warkocz płaczącej brzozy, z czarnej kolumny spadający.

— To ci włosy — wyrzekł nareszcie.

Lecz Żydówka lamentowała.

— Ny, kto mi teraz zapłaci? Kto? Co ja mam za moje dobre serce, żeby taką włóczęgę

z końca świata do numeru brać! A młoda jeszcze była, zdrowa, po co jej było taki koniec ze sobą robić? aj! aj!...

Do stołu się zbliżyła.

— Lichtarz mi popsuła, o!... świeca się wtopiła, niech ją choroba ciśnie!...

Na stole stał lichtarz mosiężny, cały zielony, ze stearyną świecy szeroko po brzegach rozlaną. Widocznie samobójczyni pozostawiła na stole płonącą świecę. Przepalony sznur, którego druga połowa posłużyła za śmiertelny stryczek, należał kiedyś do szlafroka lub bluzki. Na blasze przed piecem walały się popalone kawałki listów i papierów.

— Marciński! Co ona jadła? — spytała nagle Żydówka.

— Kawę; co dzień dwie szklanki jej nosiłem!

— I bułki?

— A jakże!...

— Ny, co ja tera pocznę, kto mi za tę kawę zapłaci?

W kącie ciemnym dostrzegła małą skrzynkę.

— Może tam co jest. Niech Marciński posunie!

— Nie wolno ruszać.

— Głupi Marciński jest! Mnie wszystko wolno, bo mnie się należy i ja pierwsza do długu jestem!

Marciński kuferek pod światło przysunął.

*

A w kufierku tym był cały dramat ciężki i bolesny, cały dramat życia kobiety wykolejonej, rzuconej jednym przyspieszonym tętnem krwi w falę życia straszną i nielitościwą.

Dziewczyna ta musiała być statystką w jakimś teatrzyku, bo jeszcze „krakowianka” brudna i kawałkami glasy⁸ naszyta, mieniła się wśród reszty szmat i szmatek. Atlasowe pantofle baletowe, jak dwa opadłe i martwe motyle, rozwiały się wśród fałd połatanych koszul. Trochę paciorków brzęczało na dnie kufra, a pomiędzy

⁸*glasa* (fr.) — tkanina bawełniana, błyszcząca z jednej strony, z drugiej matowa. [przypis edytorski]

nimi rozkładał się nagle krawat męski atłasowy, jasny lila z czarną przetartą dziurą od wkładania tombakowych⁹ szpilek.

Krawat ten zdradzał wiele, jakąś miłośćkę łatwą do zawiązania w cieniu kulis, w tym bezustannym zbliżeniu mężczyzn i kobiet, w tym kodeksie moralności przenicowanym i ułatwiającym nieuprawnione związki. Krawat ten był tani, podszyty perkalem, kupiony z wystawy ubogiego sklepu na jakiejś oddalonej uliczce. Mężczyzna, który go nosił, był biednym i był bez wątpienia aktorem, bo na atłasowym węźle świeciły się żółtaworóżowo plamy szminki. Był trywialny i niewybredny w swych gustach, dowodził tego kolor krawatu, a brutalny i pełen namiętności, gdyż tkanina cała porwana była gwałtownie wyszarpywaną szpilką.

Lecz Żydówka, mrużąc gniewnie, zanurzyła dalej rękę. Z powodzi licznych szmat wy dostała kilka fartuchów płóciennych, dużych, ordynarnymi nićmi widocznie na wsi uszytych. Na jednym z nich wisiała jeszcze gałązka ucze-

⁹tombak — stop miedzi z cynkiem, imitujący złoto. [przypis edytorski]

pionego chmielu, zeszcła i szerniała. Inny miał na sobie kilka uczepionych bodiaków¹⁰. Nagle coś zaszumiało. Z jednej kieszonki wysypało się trochę pośladu¹¹ dla kur. Widocznie dziewczyna, zerwawszy z życiem teatralnym, przyjęła służbę w jakimś wiejskim domu. Lecz niedługo tam była, może dowiedziano się, że dawniej „pokazywała komedię” i wypędzono ją od razu. Tak często bywa. Panie ze wsi nie lubią aktorek...

Jeszcze kilka par pończoch sztucznie pocerowanych wyrzuciła z kuferka Żydówka, jakiś stanik ciemnogrnatowy, przerobiony pod szyję, ze śladami huzarskich galonów na plecach i na piersiach, wreszcie waporyzator¹² rozbity, z pękniętą gumą i zerwaną siatką, obrazek Matki Boskiej oprawny w blaszane ramki, kłębuszek włóczki z zaczętą szydełkową rozetką, patelkę całą czarną i spaloną od ognia, wreszcie pustą, wytłuszczoną portmonetkę. To było wszystko, lecz z tych smutnych gałganów trup

¹⁰*bodiak* (reg.) — oset. [przypis edytorski]

¹¹*poślad* — ziarno gorszej jakości, używane jako pasza. [przypis edytorski]

¹²*waporyzator* (z łac.) — rozpylacz do perfum. [przypis edytorski]

cały odżywał i opowiadał gorzkie dzieje kobiecej doli. Dziewczyna ta żyła widocznie z jednym ze swych kolegów, była pracowitą i oszczędną. Pełniła przy mężczyźnie obowiązki kucharki i posługaczki.

Miała jeszcze trochę wiary, którą musiano wpoić w nią w domu. Była nerwową i lubiła denerwować się sztucznymi zapachami. Miała grunt najuczciwszy i starała się po rozstaniu ze swym kochankiem wywalczyć sobie jakieś stanowisko wśród ludzi. Pracowała i musiała czuć się bardzo szczęśliwą. Wypędzona, wpadła w nędzę i rozpacz bezdenną. Głód, opuszczenie, smutek pchnęły ją w otchłań zwątpienia, które kończy jedynie... śmierć.

Młoda, lecz z ciałem zniszczonym nędzą i przedwczesną miłością — nie umiała iść dalej.

Wśród nocy, w zaduchu i ohydzie żydowskiego zajazdu postanowiła skończyć to, co się nazywało życiem.

Przepaliła sznur, bo przeciąć go czym nie miała, i bez łzy, bez żalu, z ustami nerwowo zaciśniętymi założyła go sobie na szyję.

Ostatnie wrażenie¹³, jakie ze sobą w dal ciemną uniosła, był żółty, drgający płomień dogasającej na środku izby świecy.

*

Żydówka kopnęła nogą kuferek.

— Ani gałgana nawet wybrać! Tego nawet handlarz za dwa grosze nie zechce!...

Powstała powoli i do trupa się zbliżyła, oglądając zniszczoną sukienkę, w jaką dziewczyna była ubrana.

— Może w kieszeni co ma?

Rękę wyciągnęła, ale prędko cofnęła ją i poza plecy ukryła.

— Niech Marciński zobaczy.

— Nie wolno!

— Głupi Marciński jest... jak się co znajdzie, to i Marcińskiemu się dostanie za usługę. Przecież Marciński na piwo nic nie dostał.

¹³*ostatnie wrażenie* — dziś popr.: ostatnim wrażeniem. [przypis edytorski]

Kelner pokręcił głową.

— Ano racja jest, zobaczę!

Do kieszeni trupa sięgnął, lecz pustą była prawie zupełnie. Trup się zakołysał. Żydówka z rękami założonymi na brzuchu przyglądała się niecierpliwie.

— A nie „stłuknij” ją, Marciński.

— Wisi mocno! niech się pani nie stracha!

Oswajali się powoli z tym trupem smutnym i stygnącym w zaduchu źle utrzymanej izby.

— Nie ma nic?

— Nie... ino blaszany naparstek.

Żydówka znów zaklęła.

— Daj pan Marciński naparstek! Salcia swój zgubiła, nie potrzeba kupić.

Nagle zamilkła i bliżej do okna postąpiła.

Trup, kołysząc się, odsłonił nogi.

Nowe, porządne buciki, zapięte na guziczki, ukazały się oczom właścicielki hotelu.

— Niech pan Marciński zlezie!

Lecz Marciński dotykał wiszącego warkocza i mlaskał językiem.

— Aj! aj! Co za włosy!

— Marciński musi zleźć!...

Kelner warkocz z żalem z ręki wypuścił.

— Niech pan Marciński pójdzie cicho do mojego mieszkania i przyniesie duże nożyce. Trzeba ją oderznąć, może jeszcze żyje, to się ją potrze!

Kelner spojrział w oczy Żydówki.

Przez kilka chwil mierzyli się wzrokiem, a oboje mieli w źrenicach jakieś płowe, migoczące światełka.

Wreszcie kelner ku wyjściu się skierował i skrzypiąc drzwiami, znikł w głębi sieni.

Żydówka, pozostawszy sama, obejrzała się kilkakrotnie, po czym, wyciągnąwszy jak najdalej ręce, na palcach do trupa podeszła i szybko guziki bucików rozpinać poczęła. Nos jej się zwęził ze strachu, usta zgięły się w półkole. Na czoło pot wystąpił. Ona, sapiąc, przechylona, ciągnęła dalej swą pracę, zdzierając ze zmarłej obuwie, szarpiąc trupa, nie czując prawie chłodu nóg zeszywniałych, które, pozbawio-

ne osłony, zabielały nagle jasną barwą szarych, pocerowanych ciemną bawełną pończoch.

Dokonawszy swego dzieła, właścicielka cofnęła się szybko, otworzyła drzwi i z siłą cisnęła daleko w głąb korytarza buciki. Stuknęły o podłogę, jak uderzenie młotka o wieko trumny. Czas jednak był wielki. Marciński powracał, kryjąc pod połami kurtki duże nożyce.

Żydówka pot z czoła otarła.

— Panna Salcia gra?

— Panna się bije z kucharką!

Weszli znów do numeru i teraz już sam Marciński podszedł do okna.

— Niech się pani nie zbliża, ja ją sam obe-
tnę.

Wlazł na okno, posunął trupa i zasłonił sobą prawie całą postać zmarłej.

Żydówka, o drzwi oparta, nie patrzyła, cała zajęta myślą, czy buciki samobójczyni będą dobre na nogi jej córki.

Tymczasem nożyczki zgrzytnęły. Z cichym chrzęstem obsunął się wzdłuż pleców trupa ob-

cięty warkocz. Marciński zwinął go zręcznie i schował do kieszeni kurtki.

I znów niby chrząst — i głowa dziewczyny ukazała się teraz ostatecznie zeszecona, z krótką nierówną linią rozsypujących się na karku włosów.

Lecz Marciński ku drzwiom się zwrócił.

— Lepiej nie ruszać, policja się wda i będzie kram, że my ją poruszyli. Jaką naszli, taką zostawmy!

Żydówka skinęła głową.

— Ma Marciński „słusznie”! Teraz musi iść po strażnika! Aj, aj!... Jakie to zmartwienie!...

Kelner z okna zeskokczył i ku drzwiom podążył.

Wyszli oboje na korytarz i Marciński zaczął dobierać klucze.

Żydówka, bučki niewidocznie podniósłszy, za chustkę ukryła.

— Czego Marciński ją zamyka? — zapytała, kierując się do wyjścia.

— Prawda! — odrzekł kelner — przecież nie ucieknie!

I roześmieli się oboje.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-szakale>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, Nowele, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okladka na podstawie: Małpa z bukiecikiem fijołków, Gabriel Max (1840-1915), domena publiczna

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dobrym Tożsamość Przyjaciel Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.